

Zenon Iuchalski

Białystok.

© ARCHIWUM WISCHODNIE

Urodziłem się w miejscowości Zacisze, gm. Zabłudów, w województwie białostockim 22 kwietnia 1932-go roku. Ojciec był rolnikiem. Na imię miał Aleksander. Matka, Kazimiera z domu Waszkiewicz. Ojciec urodzony był 29 kwietnia 1894 r. Matka natomiast urodziła się w październiku 1897 r. Pochodziła z miejscowości Kulesze, gm. Downary.

Rodzice moi sprowadzili się do Zacisza w 1928 roku. Gospodarstwo odkupili od Adama Lewonowskiego. Nasze gospodarstwo, podobnie jak i pozostałe za Zaciszem - pochodziły z majątku pana Kawelina, Niemca, które dla ochotników z wojny polsko-bolszewickiej zostały przydzielone za spłatą na raty.

Nasza rodzina była siedmioosobowa: rodzice i pięcioro dzieci. Najstarszy był Czesław /1921/, Henryk /1923/, Pelagia /1927/, Wanda /1929/, ja - Zenon /1932/. W Rosji urodziła się najmłodsza siostra, Krystyna /1940/, w półtora miesiąca po naszym przyjeździe na Syberię.

Po wybuchu wojny byliśmy w Zaciszu. W tym czasie najstarszy brat uczył się w gimnazjum im. J. Piłsudskiego w Białymstoku. W dniu 7-go listopada urządzono nam przymusowe święto rewolucji Październikowej. Zbudowano bramy w poszczególnych miejscowościach, a my musieliśmy obchodzić poszczególne miejscowości, zaczynając od Kamionki, przez Zajezierce, Zacisze i z powrotem do Kamionki. Robiliśmy to pod przymusem. Miało to charakter defilady. Jej głównym organizatorem był Wiktor Kuryłowicz. Pochodził z Kamionki i jak wiem od ojca - współpracował z Sowieciami. Często jeździł do Grodna,

miał na gospodarstwie parobków, miał więc wiele czasu. Podejrzewano go o współpracę z komunistami, gdyż Rosjanie, gdy weszli na nasze tereny byli doskonale zorientowani, do kogo mogą iść. W czasie wspomnianej defilady Kuryłowicz wszedł na trybunę w Kamionce i w czasie przemówienia, w którym witał rosyjską delegację, wyjął bułeczkę z kieszeni, podniósł ją do góry i powiedział po rosyjsku, że nareszcie możemy "swobodno pakuszat", ponieważ dwadzieścia pięć lat polskie państwo go gnębiło i mordowało. Teraz przyszła władza radziecka, można jeść swobodnie. Był przy tym usmiechnięty.

Po wybuchu wojny radziecko - niemieckiej ten człowiek oczywiście uciekł do Rosji, z Armią Czerwoną. Później - jak opowiadała jego dalsza rodzina - dostał się tam do więzienia na dziesięć lat. Jak sam napisał w liście, gdyby mógł, to na kolanach i na łokciach wracałby do Polski, gdyby go tylko puścili. Jego dwaj bracia stryjeczni zginęli od kul niemieckich. Słyszałem, co później ludzie opowiadali - tego nie widziałem - Niemcy dowiedzieli się, że przez ich rodzinę całą Zacisze zostało wywiezione. Wówczas, w lutym, kazali im wejść na wysoką topolę i gdy słońce wschodziło to kazali wołać nas Polaków, wywiezionych do Rosji. Ponieważ nie chcieli wołać, Niemcy zestrzelili ich z tych drzew. Spadli z drzew, a gdy ich siostra poszła po ich ciała, prawdopodobnie i siostrę również zastrzelono. Tak o tym opowiadano. Przy tym nie byłem, bo w tym czasie byliśmy na Syberii.

W czasie przymusowej defilady musieliśmy przejść z Kamionki do Zajezierc, ok. kilometra, a zstamtąd do Zacisza ok. 1.5 km. W sumie przeszliśmy ok. 6 - 7 km. W czasie pochodu nic szczególnego nie działo się. Przy każdej napotkanej bramie

musieliśmy zatrzymywać się, aby wysłuchać przemówienia jakiegoś wojskowego radzieckiego. Zawsze obok stał Kuryłowicz który jak się później okazało, był prezydentem rejonu.

Przez cały czas 1939 roku: od września do Nowego Roku przyjeżdżali do nas radzieccy żołnierze i kupowali od ojca i innych gospodarzy ziemniaki. Nie zważali na siarczyste mrozy, które powodowały, że ziemniaki zamarzały. Brali je na furmanki i wieźli gdzieś do koszar. Stacjonowali prawdopodobnie w majątku w Bobolewie.

W Nowy Rok 1940 przyszli do nas we czterech, w mundurach. Była godzina ok. jedenastej i pospisywali całą naszą rodzinę: wszystkich krewnych - dalszych i bliskich. W tym czasie w naszym domu przebywał ojca brat z Warszawy, inż. Paweł Puchalski. Ukrył się w sąsiednim pokoju i w ogóle nie pokazał się.

Po spisaniu nic nam nie powiedziano. Ale mój ojciec zaczął już coś podejrzewać. Jego podejrzenia zaczęły się potwierdzać, kiedy 6-go stycznia 1940-go roku aresztowano mojego brata. W tym czasie akurat kończyły się ferie szkolne i brat pojechał na stację. Mieszkał w Białymstoku przy ulicy Monopolowej u jakiejś Żydówki. Tam mieszkał przez dłuższy czas, chyba przez cztery lata. Kiedy ojciec dowiedział się o jego aresztowaniu, zaczął go szukać, starał się uzyskać jakieś dane, ale żadnych informacji już nie uzyskał. Dowiedział się jedynie od tej pani, u której brat mieszkał na stacji, że ze szkoły, do której chodził brat Czesław aresztowano bardzo dużo Polaków. Zostawiono przeważnie tylko Żydów.

Nie wiem dokładniej, co było z bratem dalej, gdyż on nas

odnalazł na Syberii dopiero w 1942-gim roku. Wówczas dowiedzieliśmy się, że miał aż cztery sprawy: pierwszą w Mińsku. Kiedy tylko spotkaliśmy się na Syberii, natychmiast zapytał o losy Dominika Łosia, aresztowanego na przełomie września - października 1939-go roku /ojciec Zbigniewa, był posłem przez jedną kadencję/. Otóż oni spotkali się w białostockim więzieniu na korytarzu. Wówczas pan Łoś zdołał tylko powiedzieć: To i ty tu też jesteś?. Więcej nic nie mogli sobie powiedzieć, bo im obu zarzucono worki na głowę. Nigdy już więcej nie spotkali się.

Rozprawa w Mińsku dotyczyła zarzutu przynależności do przysposobienia wojskowego. Była to przedwojenna, szkolna i legalna organizacja. W Mińsku otrzymał pierwszy wyrok: 20 lat. Sam wówczas miał lat 19. Nie podpisał tego wyroku, następnie trafił do karceru, po którym zarządzono ponowne śledztwo połączone z okropnymi torturami. Został półkaleką, gdyż niewiele widział na prawe oko, a na prawe ucho nic nie słyszał. Niejako dodatkowo złamano mu rękę.

Podpisał dopiero czwarty wyrok, który opiewał na 8 lat. Wcześniej w celi brat spotkał polskiego Cygana, który mu wyróżył ośmioletni wyrok i to, że spędzi w więzieniu ponad dwa lata, a następnie pójdiesz na wojnę. Kiedy brat otrzymał ośmioletni wyrok, podpisując go powiedział do sędziego - pamiętając o wróżbie Cygana - że będzie siedział tylko dwa lata. Sędzia wówczas zapytał, kto odbędzie resztę wyroku. Brat odparł: wy. Wówczas sędzia zapytał z przekąsem: czy widziałeś psa z piątą nogą. Brat na to, że nie, ale jest pewien, że właśnie sędzia odsiedzi resztę jego wyroku.

Za tę rozmowę brat trafił na jakiś czas do karceru, a nas-

tępnie wywieziono go na Murmansk. Tam przebywał ok. ośmiu czy dziewięciu miesięcy. Podstawową pracą był spław drzewa. Tam przebywało bardzo dużo księży oraz innych ludzi wykształconych z Polski. Było im tam bardzo ciężko, bo nie byli przyzwyczajeni do tych straszliwych mrozów, poniewierki i głodu. Wieli z nich tam zostało na zawsze i nie ma po nich żadnych śladów, grobów.

Stamtąd przewieziono go na Sybir gdzieś w okolice Krasnojarska. To, o czym już mówiłem, że nas spisano w Nowy Rok 1940 - spisano nie tylko naszą rodzinę, ale całą wieś. Przy tym spisujący zastrzegli każdemu spisywanemu, żeby o tym nikomu nie mówić. I tak się stało, że do dnia wywiezienia nikt nie wiedział, że wszyscy sąsiedzi byli spisywani. Ojciec sądził, że tylko nas spisano, a to dlatego, że brat był aresztowany i że może coś powiedział na śledztwie. To były oczywiście tylko domysły.

Do wywózki doszło 10-go lutego o godzinie czwartej rano. Załomotali kolbami karabinów do drzwi. To była sobota i ojciec zamierzał akurat jechać do Białegostoku. Był umówiony z jakimś panem, że zawiezie mu mięso, a w zamian odbierze meble: szafę i sześć foteli. Świniaka zabił w piątek i ułożył na furmankę tak, żeby jak najszybciej móc z rana wyjechać.

NKWD-yści po wejściu najpierw dokonali rewizji. Nas wszystkich zgromadzono w najmniejszym pokoju, jeden z żołnierzy nas pilnował. Rewizja miała na celu odnalezienie "rużija", /broni/ i przez cały czas krzyczeli na ojca "dawaj rużijo". Ojciec odpowiadał, że nie ma broni, co rzeczywiście było prawdą. Nie bili, nie krzyczeli, nie wyzywali. Trzeba powiedzieć, że do nas trafili jacyś przyzwoici ludzie.

W naszym domu była kuchnia i trzy pokoje usytuowane tak że wychodząc z kuchni można było przejść przez pokoje i wrócić do kuchni, ale z drugiej strony. NKWD-ysta podchodząc do drzwi każdego pokoju pytał, kto tu mieszka. Ojciec odpowiadał: ja. Zdziwiony stwierdził: a job twoju mat' , ~~as~~ a skolko ty kwartir imiejesz.

Następnie powiedział: zbierajcie się; pojedziecie na zsyłkę na 25 lat na Syberię. Ojciec nic na to nie odpowiedział. Natomiast mama zaczęła strasznie płakać. Nakazano nam natychmiast pakować się, gdyż na godzinę siódmą planowany jest wyjazd. Ojciec zaczął barać przede wszystkim rzeczy podstawowe, głównie żywność. Chciał też zabrać ze ściany duży zegar ścienny, ale nie pozwolono podobnie jak w przypadku skrzypiec brata. W ganku stały trzy rowery: dwa należały do moich braci, a trzeci stanowił własność stryja. Kiedy dowoźdzący Rosjanin zobaczył, że na ganku stoją trzy rowery, natychmiast postawił wartownika do ich pilnowania. Oczywiście rowery zostały. Zresztą ojciec nie miał zamiaru ich zabierać, bo nie było miejsca.

W pewnym momencie przyszedł do nas nasz sąsiad, Jan Hancewicz i zapytał ojca: to i ty jedziesz? Ojciec potwierdził. W tym momencie ~~xxx~~ spostrzegliśmy, że wszyscy wywożeni zjeżdżają się do nas: u nas wyznaczono punkt zborny, bo nasze zabudowania stały najbliżej wyjazdu w stronę Żedni. Sąsiad Hancewicz zaproponował ojcu zabicie jeszcze jednego świniaka na drogę. Pilnujący nas Rosjanin na to zezwolił. Zezwolono też na zabranie skrzypiec oraz łyżew brata. Ojciec z sąsiadem pośpiesznie zabili świniaka i zabrali go w drogę. Dzięki temu mieliśmy co jeść i w czasie drogi ~~as~~ jak i po za-

jechaniu na miejsce.

O godzinie 8.00 - 8.30 wyruszyliśmy wszyscy w kierunku Żedni. Jeszcze wcześniej moja siostra Wanda zaczęła płakać, gdyż nie mogła zabrać ze sobą ulubionego kota. Dowodzący lejtnant zainteresował się tym i pozwolił zabrać kota. Następnie podszedł do płaczącej mamy i zapytał, czego mama płacze. Mama odpowiedziała, że dorobek jej całego życia musi teraz zostawić na niepewny los. Wówczas on powiedział, żeby mama nie niepokoila się, gdyż wszystko nasz dobytek pojedzie z nami w następnym wagonie.

Tak oczywiście się nie stało. W drodze do Żedni ojciec nosił się z zamiarem ucieczki. Jechaliśmy przez Słomiankę. Kolumna sań była dość długa. Podwoły były z sąsiednich wsi. Ponadto każdy miał swoje. Jednakże wkrótce ojciec zastanowił się głębiej: co da ucieczka, przecież zostanie sama mama z gromadą małych dzieci. I zrezygnował z tego zamiaru.

Z całego łacisza został jedynie Stanisław Trypuć. On prawdopodobnie wiedział o wywózce i nie było go w czasie wywózki. Pojechała tylko jego rodzina. Został też Jan Markowski i Aleksander Łoś. Ich w tym czasie nie było w domu.

Zawieziono nas do Żedni i załadowano do bydłych wagonów, które były już przygotowane i przystosowane do przewozu ludzi. Na oknach były blindy to znaczy zasłony ustawione w ten sposób, że przez okno można było widzieć niebo, ale nie było widać ziemi. Wewnątrz wagonu były prycze, a na środku stał żelazny piecyk okrągły, na jeden garnuszek, a w podłodze wycięty otwór na załatwianie potrzeb fizjologicznych. W Żedni ojciec poprosił jednego żołnierza z eskorty, aby pozwolił przynieść wody. Uzyskał zgodę i ruszył z dwoma wiadra-

mi, a za ojcem siedł wartownik. Za wartownikiem siedł mieszkaniec wsi Zajezerce - Konstanty Siegieńczuk i mówił do wartownika: dobrze zrobiliście, że wy tych pasożytów wywozicie. Oni z nas przez dwadzieścia lat pili krew". Mówił to wprawdzie po rosyjsku, ale ojciec doskonale znał ten język, gdyż służył kiedyś w carskiej armii.

Ojciec nabrał wody i wróciwszy do wagonu powiedział do sąsiadów: Nikodema Grzegorzcyka, Zygmunta Szczepańskiego, do pani Łosiowej i zresztą do wszystkich, którzy jechali w naszym wagonie, co go spotkało po drodze.

W Łedni staliśmy dzień i noc. Nad ranem następnego dnia przywieziono nas do Białegostoku. Tu staliśmy chyba do dwunastego lutego. Z Białegostoku ruszyliśmy w stronę Mołodeczna. Wagony były zamykane od zewnątrz na drut i na kilka wagonów był jeden pilnujący - "strełok". Miałem wówczas osiem lat i inaczej odbierałem to ~~złą~~ co się dzieje: byłem zadowolony, że mogę jechać pociągiem. Z podróży zapamiętałem, gdy nocą przeładowywano nas z wagonów normalnotorowych na szerokotorowe. To było w Mołodecznie. Wagony tak podstawiono względem siebie, że przechodziliśmy z wagonu do wagonu po desce.

Podróż przebiegała w ciężkich warunkach. Po pierwsze dlatego, że wagony były przeładowane. W naszym wagonie na przykład było 45 osoby stanowiące siedem rodzin. Jedna z rodzin przyjechała do wagonu bardzo brudna i ten brud natychmiast przerzucił się po całym wagonie. W ciągu tygodnia wszyscy byliśmy opanowani przez wszy.

Najbardziej uciążliwy był brak picia. Na postojach nabieraliśmy wody do wiader. Ale maszynista, chyba specjalnie tak

szarpał podczas ruszania, że nawet jeśli ktoś trzymał wiadro w ręku, to i tak prawie nic nie zostało wody. Bywało i tak, że i po trzy dni nie dawano nam wody.

Pamiętam, że pociąg zatrzymał się w Ufie. Dzieci głośno płakały i prosiły pić. Wówczas ojciec jakoś przez okienko przywołał kogoś z parowozu i prosił go o wodę. Ten zaś był zdziwiony, że nam nie dają pić. Poszedł chyba do dyżurnego ruchu z wiadomością, że ludzie chcą pić. Wówczas potwierzano wagony i dano nam wody. Wówczas nabraliśmy wody we wszystkie naczynia, jakie kto tylko miał. Po postoju maszynista tak ruszył, że dosłownie wszystką wodę nam wylał. Pociąg najpierw szarpnął, a następnie zahamował i wody nie zdołaliśmy utrzymać.

Z żywności od czasu do czasu otrzymywaliśmy chleb, to było na większych stacjach takich jak np. Czelebinsk, Nowosibirsk. Nocą z trzeciego na czwarty marca przyjechaliśmy na przystanek w pobliżu Tajszetu.

W czasie podróży eskortował nas jeden z wartowników, który był z pochodzenia Polakiem. Gdy obejmował służbę, zawiadamiał nas o tym i wówczas można było modlić się głośno, co w innych sytuacjach było niemożliwe. Inni strażnicy wyraźnie tego zabraniali.

Wyładowano nas czwartego marca wprost na śnieg. Musieliśmy czekać na podwozy czyli na sanie. Mama z dziećmi pojechała saniami do miejscowości Toporek. Natomiast starszy brat Henryk i ojciec zostali, aby wyładować z wagonu bagażowego naszą żywność /świniak/. Dołączyli do nas dopiero wieczorem. Ulokowano nas w baraku nr 1, w kwaterze 13-tej. W baraku było 34 rodziny. Poszczególne "mieszkania" były od siebie odgródzone przepierzeniami o wys. 2 m tak, że można było swobod-

nie zaglądać do "mieszkania" sąsiada. Barak ogrzewały dwa żelazne piecyki, "ciepłuszki".

Dorosłych mężczyzn obowiązywał nakaz pracy, z zasady przez lasopowale czyli wyrębie lasu. Barak podzielik się na dwie części i każda korzystała z jednego pieca. Praca trwała ~~do~~ 12 godzin. W lesie oczywiście jedzenia nie otrzymywali, pracowali pod strażą.

Z naszej rodziny do pracy chodził ojciec i Henryk. wiosną przeniesiono ojca do pracy w stołówe. Pierwszy rok żyliśmy dobrze, bo mieliśmy swoje zapasy, otrzymywaliśmy kaszę a i w sklepie też można było kupić czasem nawet śledzie.

W Toporku mieszkaliśmy do jesieni. Teren był ogrodzony a w barakach liczne pluskwy. Wprawdzie co dwa tygodnie przeprowadzano dezynfekcję, ale to nie dawało zauważalnych skutków. Panowała też silna dyzenteris do tego stopnia, że codziennie był pogrzeb a pamiętam i taki, w którym było siedem. Wymierały całe rodziny.

Kiedyś moja siostra Pelagia wydostała się przez ogrodzenie i poszła do kołchozu wymienić rzeczy na jedzenie. Przyniosła trochę tłuszczu ale ją schwytano i pośadzono na 5 dni. Ale kary nie odbywała, bo w tej sprawie interweniował rosyjski lekarz. Stało się tak dlatego, że on był naszym sąsiadem i zauważył u ojca zegarek, który mu bardzo się podobał. Ale że to był nasz jedyny zegarek, ojciec nie chciał go sprzedać. Ale sprzedał mu futro karakułowe, za co on był dla nas bardzo życzliwy i sprawił, że siostra nie przebywała w areszcie. Był tak dobry, że w lecie wypisywał nam arbizy pod pozorem, że jesteśmy chorzy.

Najmłodszą moją siostrą urodziła się właśnie tam, na To-

porku 27-go kwietnia 1940-go roku. Ponieważ nie było mleka, siostra chodziła potajemnie do Kwitka /7 km/ i przynosiła je za chleb. Jakaś Rosjanka też nam mleko przynosiła. Za kg chleba otrzymywało się litr mleka. Mama karmiła siostrę piersią przez dwa lata i siostra przeżyła, mieszka obecnie w Białymstoku.

Baraki, w których mieszkaliśmy, ogrodzono podwójnymi drutami, pomiędzy którymi biegały psy. Także zbudowano więźniów wyżki. Widocznie przygotowywano to miejsce dla więźniów. Nas stamtąd wywieziono do Niżnej Udacznej jesienią 1940 r. Tam też były baraki, ale lepsze, bo nowe i nie było brudu. Stałe nachodziło nas NKWD i to po pracy, gdy ojciec był zmęczony i powinien odpoczywać. Trzymano go po całych nocach pytając o różne rzeczy. Widać jednak było, że chodzi im o maltretowanie człowieka. Inną formą znęcania się było zabieranie ojca do zaradunku wagonów, właśnie w nocy. A bywało to po dwa, trzy razy w tygodniu. Tak traktowano nie tylko ojca, ale chyba wszystkich mężczyzn.

Do pracy trzeba było chodzić do ~~pracy~~ Kwitka do tartaku. Kwitok był zbudowany na bagnach. Droga przez pasiołek była wykonana z drzewa. Były to przecięta wzdłuż bale drzewa, położone poprzecznie i odpowiednio połączone ze sobą.

Na Udacznej było o tyle gorzej, że nasze zapasy się skończyły, a racje chleba zostały zmniejszone. Zupełnie źle było po wybuchu wojny: dziecko do 12-tu lat dostawało 200 gramów chleba, niepracujący powyżej dwunastu lat - 150 g, a pracujący - 0,5 kg. I to było wszystko, zupełnie wszystko. Nawet ziemniaków. Kartofle jedliśmy tylko raz, gdy brat pracował przy rozładunku pociągu z żywnością, który przyszedł dla

miejscowych dygnitarzy partyjnych. Wówczas on ukradł kilka ziemniaków. Były to pierwsze kartofle od czasu naszej wywózki - w październiku 1940-go roku.

Z wandą poszedłem do szkoły, do kl. pierwszej, chociaż w Polsce chodziłem do klasy drugiej. Do szkoły chodziłem do Górnej Udacznej, cały czas miałem do szkoły pod górę. Tu nadal prześladowano ojca i naszych sąsiadów. Nie było nocy, żeby kogoś nie brano. Te szykany skończyły się jesienią w 1941 roku. W roku 1940-tym na Wigilię dwukrotnie ojca wołano. W tym mniej więcej czasie zabrano bezpowrotnie pana Mirońniczenkę, nadleśniczego z Żedni.

Po zawarciu umowy Sankorski - Majski mogliśmy się poruszać w wyraźnym zastrzeżeniu, że nie wolno przekraczać Uralu. Polacy zaczęli się rozjeżdżać: jedni do Kazachstanu, inni zostawali. Myśmy pojechali później do "Szerpotrew". Była to fabryka nart na Kwitku /1941r/. Tam zamieszkaliśmy. Zarobki były niezłe, ale nie było co kupić. Zresztą nam nie płacono, bo nie było pieniędzy. Pracowaliśmy na kredyt z tym, że gdy wyjeżdżaliśmy, wypłacono nam ruble, które wówczas były bez wartości i nie było co kupić.

Tam był straszny głód. Kiedyś dyrektor fabryki, Masłow, wyrzucił pod płot żupiny ziemniaczane. Ja je pozbierałem i mama nam ugotowała. Później z ojcem to odchorowaliśmy. Wówczas też przyjechał do nas brat z więzienia - Czesław. Został zwolniony z więzienia, pracował jako slusarz i zawsze wracając z pracy zachodził na dworzec i pytał o nas. Przypadkowo zapytał kogoś, kto znał Szałkowskiego z Zacisza. Przez Szałkowskiego, telegramem dowiedział się, gdzie my jes-

teśmy. Dotarł do nas w lutym 1942-go roku. Miał ponad 190 cm wzrostu, a przyszedł do nas tak przygarbiony, żeśmy go nie poznali. Był zupełnie obłączony, a w domu nie było nawet kromki chleba. Wówczas ojciec wziął albo garnitur albo poduszki, poszedł 18 km do Białej Urki i wymienił na 10 kg żytniej mąki.

Brat, gdy tylko się "odkuł", postanowił wyjeżdżać z nami i sąsiadami. Miał jakieś poważanie u "Zaciszaków". Wyjechaliśmy do Tajsztetu, gdzie czekaliśmy przez dwa tygodnie, na dworcu. Spać nie wolno było, interweniowała milicja. Byliśmy początkowo bez ojca, który został jeszcze, aby odebrać naszą wypłatę. W tym też czasie wstrzymano nam wyjazd. Ale ~~że~~ my byliśmy już na stacji, udało się nam wyjechać do sowchozu "Krasnyj Majak", Kański rejon, Krasnojarski Kraj.

Końchoz składał się z centrali i sześciu ferm /filii/. Zatrzymaliśmy się na pierwszej fermie z Fuchalskimi, Chanecwiczami i Lewonowskimi. Inni byli na innych fermach. Oprócz nas z Zacisza byli tam inni: Kukliński z Augustowa /Bargłów/, Wewiórko i jeszcze jedna rodzina z okolic Augustowa. Byli państwo Pupy z Wołożyna.

Sowchoz był nastawiony wyłącznie na hodowlę bydła. W pobliżu była też przetwornia mleka. Jednakże ta hodowla była bardziej z nazwy niż w rzeczywistości. Koszono hektary siana "na papierze", bo siana w rzeczywistości nie było. Na czterysta krów odwożono do mleczarni dwie konewki mleka. Wiosną niektóre krowy trzeba było podnosić, bo je cztery razy dojono, pięć razy pojono, ale nie karmiono.

Ojciec na fermie pracował jako ogrodnik, a w zimie był "objezdczykom". Miał do dyspozycji konia, dwukołowy wóz i

objeżdżał okolicę pilnując, aby nie kradziono siana. Ja z siostrami pracowałem przez całe lato przy siankosach. Kiedy wróciliśmy w końcu września, mama musiała spalić naszą kołdrę, bo była całkowicie opanowana przez wszy.

Z jedzeniem były te same kłopoty jak i wszędzie. Otrzymywaliśmy z siostrą po pół kilograma chleba dziennie. Raz na dzień otrzymywaliśmy zupełną kaszę gryczaną. Na bazarze wiaduro kartofli kosztowało 300 rubli, a mój ojciec miał miesięcznie 195 rubli.

W lecie mama też pracowała jako stróż na ogrodzie, ale w praktyce ojciec za nią pracował. Siostry również pracowały.

W maju 1943 roku Henryka powołano do wojska - do wojska Berlinga. Wcześniej sporo ludzi od nas poszło do armii Andersa. Ojciec też mógł pójść, ale nie mógł zostawić rodziny. Nie wiem, dlaczego najstarszy brat wówczas nie poszedł, później poszedł do Kosciuszkwów.

Po wyjeździe z Niżnej Udacznej już do szkoły nie chodziliśmy. Dopiero na fermie poszliśmy do szkoły: dwie siostry i ja. Tak trwało do naszego wyjazdu - 9 kwietnia 1946-go roku. To była chyba niedziela. Najpierw wyjechaliśmy do Kańska /18 km/. Stąd wyruszyliśmy pociągiem.

Na fermie pracowałem przy wożeniu wody do ogrodu. Później pracowałem przy pompie wodnej. W 1943 roku pracowałem z drugim bratem w oborze dlatego, że dojarki Rosjanki dawały czasem mleka. Kiedy brat poszedł do wojska, zostałem pastuchem. Pasłem 100 krów przez całą dobę, czterokrotnie zapędzając je do ogrodzenia, bo trzeba było je wydoić. Rzuciłem tę pracę wówczas, gdy kilka krów uciekło mi przez rzekę Kan

nocę i nie mogłem ich odzyskać. Zacząłem wozic siano na kiszonki. Ponieważ byki, którymi powoziłem nie chciały mnie słuchać i wjechały z sianem do jeziora, uprawiajuszczyj mnie nabił. Ojciec zrobił z tego powodu awanturę i wówczas pracowałem przy zwożeniu siana do stogów. Mężczyzn w tym czasie nie było. Wszyscy poszli na front. Zostali zniedołęzniali starcy oraz ci, których wyreklamował Nikołaj Nikołajewicz, dyrektor. Byli to ludzie "niezbędni" do pracy w kołchozie. Z Polaków byli tylko mój ojciec oraz pan Matuszewski, który nie był z Zacisza. Wielu mężczyzn poszło do armii Berlinga: Marian Matuszewski, mój brat Henryk, Jakub Grzegorzczak, Aleksander Lewonowski, Zygmunt Szczepański, Stanisław Dąbrowski.

Z Zacisza zostali wywiezieni:

1. Markowska Jadwiga z córką Celiną i matką Dobrogowską. Pani Dobrogowska tam zmarła.
2. Nikodem Grzegorzczak z żoną Genowefą, dziećmi: Ireną, Witoldem, Kazimierzem i Stanisławem. Wszyscy wrócili.
3. Jakub Hancewicz z żoną Leokadią i dziećmi: Zenobia, Monika, Tadeusz.
4. Józef Dąbrowski z żoną/zmarła/ i dziećmi: Stanisław i Leokadia, zginęła na froncie. Stanisław wrócił jako inwalida.
5. Wincety Szalkowski z żoną Jadwigą i jej siostry /jedna z nich zmarła/ oraz jego brat, przedwojenny policjant.
6. Anastazy Walendziuk - zginął pod Lenino. Był z żoną Anasztazją i córką Henryką, Lucją i synem Józefem.
7. Aleksander Puchalski - to nasza rodzina, już wymieniana.
8. Jan Hancewicz z żoną Felicją i dziećmi: Hipolitą, Zdzisławem, Mieczysławem i Zuzanną. Mieczysław nie przeżył zes-

łania.

9. Antoni Cieśluk z żoną Apolonią i dziećmi Teresą i Ryszardem.
10. Bronisława Łoś, zmarła chyba na piątej fermie a jej dzieci zabrano do ochronki: Eugenia, Zenon i Irena.
11. Dominik Łoś z żoną i dziećmi: Waldemarem, Wiesławem, Stefanem /zmarł w Polsce po powrocie/ Zbigniew.
12. Albin Sokółski z żoną i dziećmi: Olimpią i Jerzym.
13. Aleksander Lewonowski z żoną i córka.
14. Zygmunt Szczepański z żoną z córką Haliną i synem Eugeniuszem, Jackiem i Hipolitem, który zmarł.
15. Stanisław Trypuć z żoną i siostrą żony - Władysławą. Ich córka poszła do armii Andersa i tam zginęła lub zmarła.
16. Alfons i Maria Zdanowiczowie. Zmarli tam.
17. Marian Piekarski i Maria. Był w tej rodzinie jeszcze kto

Tam kościołów nie było, a cerkwie były zburzone lub zamienione na magazyny. Modły były zakazane, bo tam bogiem był Stalin. U nas w szkole na pierwszej fermie w suficie zrobiono dziurę i kazano modlić się o cukierki do Boga, a następnie do Stalina i wówczas cukierki się posypały. To nie jest kawał - sam byłem tego świadkiem. Na siódmego listopada lub na Nowy Rok trzeba było iść z miseczką, bo rozdawano "winogred"-kiszona kapusta, tarte buraki gotowane i zalane olejem sojowym.

Jeśli ktoś z kolchozników posiadał krowę, to musiał rocznie dać od niej 250 litrów mleka. Był to taki podatek. Nam przydzielono 15 arów z kolchozu

Na tej ziemi mogliśmy posadzić sobie nieco kartofli. Ta ziemia funkcjonowała na zasadzie działki przyzagrodowej. Z tej działki musieliśmy oddać trzy metry kartofli (300 kg). W rezultacie nie wiele nam z tego zostało. Ojciec, mając konia do dyspozycji, pojedechał kiedyś do lasu i na polance posadził "po cichu" trochę kartofli. Ktoś przypadkowo odkrył to poletko, doniósł i cała uprawa została zniszczona. A przecież wolnej ziemi leżało bardzo dużo. Gdyby u kogoś znaleziono zboże, to sąd i więzienie zapewnione.

Ojciec, jako woźnica przywoził z Kantska kołchozowym krowom łuskę owsianą, odpad po produkcji kaszy. Czasem można było tam znaleźć trochę ziarna. Z tego mama gotowała nam trochę kisielu, który jako dodatek do chleba był pewnym uzupełnieniem. Kawę przyrządzaliśmy w ten sposób, że wrzątkiem zalewaliśmy przypaloną na ogniu skórkę chleba. Na rodzinę dziennie mieliśmy kilogram i 35 dkg ckg chleba. Było tego niewiele, bo chleb był ciężki. Nic więc dziwnego, że po powrocie - po sześciu latach ludzie mówili, że nic nie podrosłam.

W pobliżu naszego miejsca zamieszkania znajdował się magazyn zboża. Sudynek stał na słupkach, od dołu była podłoga z desek. Ojciec wiosną kupił prosiaka i nie było go czym karmić. Specjalnie przystosowanym swiderkiem borewałem dziurę w podłodze od dołu i po nasypaniu zboża zatykałem ją drewnianym kołkiem. Odchody swiniaka trzeba było wynosić daleko w pole, aby nie można było stwierdzić, że jest karmiony owsem. W ten sposób wyhodowaliśmy kilka świń.

Kiedyś przechodziłem obok przetworni mleka, przy której była chyba jakaś masarnia. W tym czasie ktoś przerzucił przez plot (zapewne kradzioną) kiełbasę i słoninę. Oczywiście zabrałem to do domu i odbyła się uczta.

Innym razem poszedłem z kolegą kraść kiszoną kapustę, która znajdowała się w dwóch ogromnych kadziach, do których trzeba było wejść. Ponieważ byłem mniejszy, wszedłem, nadrałem kapusty ale nie mogłem wyjść, a mój kolega nie mógł mnie wydostać. Wyszedłem z najwyższym trudem.

Innym razem, z kolegą ukradłem bochenek chleba. To było w Kańsku. Najważniejsze tam było: najesc się do syta.

Kiedy wyjeżdżaliśmy do Polski, w Kańsku otrzymaliśmy chleb na całą podróż. Nazajutrz rano byliśmy w Krasnojarsku. Tu dołączono dalszych Polaków - w sumie ponad 80 wagonów. Wagony były otwarte, bez konwoju, okna nie zakryte. Po jakimś czasie, gdy skończył się chleb, zaczął się głód. Dopiero w Brześciu chleb da Czerwony Krzyż dał coś do jedzenia. Na granicy staliśmy do bęb. Wcześniej, na terenie ZSRR, pewnego ranka opudziliśmy się i stwierdziliśmy - że jedziemy w powrotnym kierunku. Wybuchła panika. Jednak okazało się, że jedziemy okrężną drogą, bo głównym torem jadą transporty ze zdobyczą wojenną, było tego bardzo dużo.

W okolicach Lidy do wagonu wsiadł Rosjanin i nie reagował na prośby, żeby wstał. W czasie jazdy wyrzucono go. Ktoś zawiadomił o tym władze. Pociąg zatrzymano i zabrano Lidy, który w transporcie był odpowiedzialny za ludzi, podobnie jak komendant transportu (Rosjanin) oraz mój brat. W trakcie awantury brat wepchnął NKWD-ystę do szamba. Zaczęły się prawdziwe kłopoty. Na szczęście komendant transportu posiadający wysokie odznaczenia wyciągnął brata z opresji.

Przy wjeździe do Polski kazano nam udekorować wagony. Kiedy przyjechaliśmy do Siedlec, przyszli "lesni" i kazali

dekorację zajęę. W Siedlcach transport rozdzielono: część wagonów skierowano do Białegostoku, a resztę na ziemie zachodnie.

Po powrocie UB-e ponownie zamknęto ojca. W Zabłudowie bi- to go łańcuchami, nie wiem za co. Wyszedł po tygodniu. Trochę pomagała nam "Unra", najwięcej z ubrania, trochę z żywności.

1-go września 1946-go roku poszedłem do szkoły do Kamionki, a następnie do Gimnazjum zawodowego w Białymstoku przy ulicy Dąbrowskiego i to z pominięciem xxk klasy wstępnej. Pomógł mi w tym znajomy, dawny kierownik szkoły w Dobrzyniówce, a obecnie dyrektor tej szkoły. Było mi bardzo ciężko, bo z zapomniałem polskiej pisowni. W drugiej klasie musiałem naukę przerwać gdyż zapadłem na gruca.

Po jakimś czasie poszedłem do elektrowni na naukę tokarstwa. Na skutek redukcji etatów zostałem zwolniony. Wyjechałem do Wrocławia i pracowałem w Polmozbycie na tokarce, a mieszkałem u brata Henryka. Tu też skończyłem kurs kierowców zawodowych. Ponieważ mama chorowała na raka, ojciec wezwał mnie do domu. Na początku 1952-go roku rozpocząłem praktykę jako kierowca w Białostockim Przedsiębiorstwie Ceramiki Budowlanej. Jesienią tego roku poszedłem do wojska i tam byłem kierowcą. Po wojsku wróciłem do rodziców (jesienią 1954-go roku), a w lutym 1955-go roku podjąłem pracę w przedsiębiorstwie budownictwa, które mieściło się przy ul. Sobieskiego. Byłem delegowany do Augustowa, tam też ożeniłem się z obecną moją żoną. Wróciłem do Białegostoku i zacząłem pracować jako taksówkarz. Pracowałem tak do maja 1960-go roku. Ponownie podjąłem pracę w przedsiębiorstwie budowlanym, tym samym i tu pracowałem do 1975 roku do lipca. Następnie prze-

szedłem do Instytutu i tu pracowałem do stycznia 1983 roku. Ponieważ chorowałem na układ krążenia - przeszedłem na rentę, początkowo bardzo skromną. Obecnie pod tym względem jest już lepiej.

W 1989 roku wstąpiłem do Związku Sybiraków. Niedawno, po wielu staraniach otrzymałem książeczkę kombatancką.

Na Syberii stosunek miejscowej ludności do Polaków był bardzo dobry. Byli dla nas zyczliwi i dzielili się z nami tym co mieli. Po wojnie w tamte strony wrócił pewien Rosjanin i opowiadał z przejęciem, w jakich wspomnianych warunkach żyją ludzie w Polsce. Do dziś nie wiem, jak on na to się odważył. Tam są straszne kary za rozsiewanie propagandy. Podobnie było z karami za kradzież. Kiedyś panna Szymańska - lat 22 - otrzymała pięć lat za kradzież kilku kartofli. Wróciła po dwóch latach i dwóch miesiącach zupełnie siwa. A przecież tamtejsze warunki wręcz zmuszały do kradzieży.

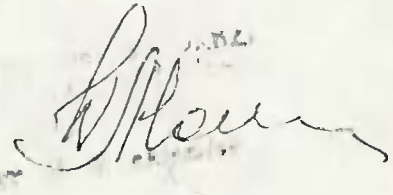
Brat Henryk przeszedł cały szlak bojowy od Lenino do Berlina. Był dwukrotnie ciężko ranny. W 1952 r. wrócił do cywila ze względu na stan zdrowia. Ma wiele odznaczeń. Jest wdowcem. Pracował na różnych stanowiskach. Jest na emeryturze.

Ojciec w 1959 r. sprzedał gospodarstwo i przeprowadził się do Białegostoku, ponieważ mama ciągle ~~przejmowała~~ chorowała, a z dzieci nikt nie chciał zostać na gospodarstwie. Mama już nie żyje.

Notował: S. Sianko.

Z a ś w i a d c z e n i e

Główna Komisja Badania Zbrodni Hitlerowskich w Polsce -
Instytut Pamięci Narodowej, Okręgowa Komisja w Białymstoku
na podstawie zeznań i zaświadczenia z Archiwum Państwowego
w Białymstoku stwierdza, iż Zenon Puchalski był
wywieziony w głąb ZSRR z Zącisza w dniu 10 lutego 1940r.
Przebywał na zesłaniu w Toporku, Miżnoj Udaczkoj, Kwitku,
rejon Tejszecki Irkuckojej obłasti i Sowchozie Krasnyj Hajak,
tejon Kański, Krasnojarski Kraj. Powrócił do Polski 6 maja 1946r.
Zaświadczenie wydano na prośbę Zenona Puchalskiego
zam. Białystok, ul. Mieszka I 1/47



Za zgodności z oryginałem

Przedsiębiorstwo Instalacji Przemysłowej
„Instal”
15-004 Białystok, ul. E. Czerwonej 32
tel. 416-707 - telex 852381

Przedsiębiorstwo - Białystok
Sekcja Kadry i Szkolenia
KIEROWNIK
Irena Czarnomysa

ZASWIADCZENIE

034286/u2642/92

Puchalski

(Nazwisko)

Zenon

(Imiona)

22.04.1932r.

Zacisze

(Data i miejsce urodzenia)



Przebieg do
of. ofiar woj.
PKP i PKSi w 9
50% zniżki

podpis posiadacza zaświadczenia



**URZĄD DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH**

Niniejsze zaświadczenie uprawnia do ulg i świadczeń określonych w ustawie z dnia 24 stycznia 1991r. o kombatantach oraz niektórych osobach będących ofiarami represji wojennych i okresu powojennego (Dz. U. nr 17 poz 75).



20.04.1992r.

Data

DYREKTOR

Imię i nazwisko

Podpis

**RÓDZAJE I OKRESY
ZALICZANE DO UPRAWNIENI
USTAWOWYCH**

Okresy		Wykazanie	Przepis ustawy
od	do		
02 1940	05 1946	Deportacja do ZSRR	Art. 4
Łącznie:		lat 6	miesiący 4
Zmiana:		lat	miesiący

m.p.

Podpis

Adres zamieszkania

ul. Mieszka I 1m47
15-054 Białystok

Ze zgodności z oryginałem
Przedsiębiorstwo Instalacji Przemysłowych
„Instal”
15-004 Białystok, ul. E. Orzechowa, 7
(5) Telefon 416-707 - Telex 851281

PIP - Białystok
Szkolenia
KIEROWNIK
Irena Czarnomyśla



GŁÓWNA KOMISJA
BADANIA ZBRODNI PRZECIWKO
NARODOWI POLSKIEMU
INSTYTUT PAMIĘCI NARODOWEJ

L. dz. Zh IV/4631/1236/91

Z A Ś W I A D C Z E N I E

Główna Komisja Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu
- Instytut Pamięci Narodowej na podstawie Kartoteki Państwowego
Urzędu Repatriacyjnego zaświadcza:

- | | | | |
|-------------------------|-------------|-------|---|
| 1. Fuchalski Aleksander | , imię ojca | Jan | , |
| urodzony/a 1894 r. | , zawód | ----- | ; |
| 2. Fuchalski Zenon | , imię ojca | ----- | , |
| urodzony/a 1932 r. | , zawód | ----- | ; |
| 3. ----- | , imię ojca | ----- | , |
| urodzony/a | , zawód | | ; |
| 4. | , imię ojca | | , |
| urodzony/a | , zawód | | ; |
| 5. | , imię ojca | | , |
| urodzony/a | , zawód | | ; |
| 6. | , imię ojca | | , |
| urodzony/a | , zawód | | ; |

przed 1939 r. zamieszka li -----
repatriowali się do kraju z ZSRR
dnia 6.05.1946 r. zarejestrowa li się w punkcie Państwowego
Urzędu Repatriacyjnego w Białystoku , pod nr 21440, 21442
udali się do m. Zacisze
Innych danych brak.



ZASTĘPCA DYREKTORA
[Signature]
doc. dr Mieczysław Motas

Za zgodności z oryginałem

PIP „Instal” – Białystok
Seksja Kadry i Szkolenia
KIEROWNIK
[Signature]
Irena Czarnomyśa